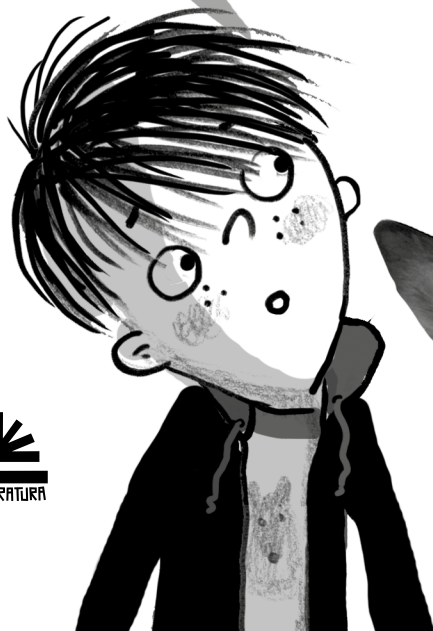


ELF

i dom demonów

RYСУNKI:
KASIA
KOŁODZIEJ

„Marcin”
„PataSZ”



Marcin Pałasz
Elf i dom demonów

© by Marcin Pałasz
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje:
Katarzyna Kołodziej

Korekta i skład:
Aneta Kunowska, Joanna Pijewska

Wydanie I

ISBN 978-83-7672-563-5

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2018
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwo**literatura**.pl



Prolog piwniczny

– Poświeć jeszcze tutaj – mruknął jeden z murarzy, wskazując na ścianę w samym końcu starej piwnicy.

– Po co? – zdziwił się drugi, nieco starszy, posłusznie jednak skierował w tę stronę latarkę. – Zapalę ci światło, tu jest przecież lampa u góry!

– Ale nie działa – uciął pierwszy. – Więc...

– Panie Tadzio, i co z tą ścianą? – zza ich pleców dobiegł zniecierpliwiony głos, a pierwszy z murarzy, nazwany Tadzio, aż podskoczył do góry. – Dobrze się mężowi zdawało, że coś tam jest?

– Jezusie Nazareński, pani Małgosiu! Ależ mnie pani przestraszyła – rzekł murarz drżącym głosem. – Mało żem zawału nie dostał!

– A coś ty taki nerwowo się zrobił? – zdumiał się jego kolega, podchodząc bliżej ściany, i nagle się zawahał. – Tu jakby zimniej jest, aż gęśniej skórki dostałem...

– Światło by się przydało – mruknął Tadzio. – Ma pani może żarówkę? Ta jest przepalona.

– Trzykrotnie ją wymienialiśmy i za każdym razem nowa strzelała po kilku minutach – odparła pani Małgosia

z lekkim zmieszaniem. – Coś pewnie z instalacją jest nie tak, chociaż elektrycy dwa razy sprawdzali i przysięgali, że wszystko jest w najlepszym porządku. Może potrzy mam latarkę?

– Damy radę – uspokoił ją drugi murarz. – Pani pójdzie na górę i zrobi nam dobrej herbaty, a my się uwiniemy z tym murem raz-dwa!

– No dobrze, panie Karolu – odparła gospodyni z lekkim wahaniem. – Dajcie znać, gdybyście czegoś potrzebowali!

Gdy ucichły jej kroki na schodach, prowadzących z piwnicy do holu, mężczyźni spojrzeli na siebie.

– Dziwnie się tu czuję – wyznał Tadzio, drapiąc się po brodzie. – Nie śmiej się ze mnie, ale naprawdę wolałbym pracować wszędzie, byle nie tutaj.

– Płacą dobrze, więc bierz się do roboty i nie narzekaj – uciął drugi. – Ludzie mają kasę, odziedziczyli dom po jakimś tam krewnym, który wykitował w zeszłym roku. A potem jeszcze podobno skarb znaleźli, wyobrażasz to sobie?

– A niby skąd to wiesz?

– No, ludzie gadają, miejscowi...

– Ludzie to zawsze gadali i będą gadać. Trzeba mieć dystans do plotek!

– W każdej plotce podobno można znaleźć ziarno prawdy...



– Kazaleś wziąć się do roboty, a teraz sam terkoczesz jak najęty – rozzłościł się nagle Tadzio. – Rozwalmy ten mur i zabierajmy się stąd! Pewnie i tak nic za nim nie ma oprócz ziemi.

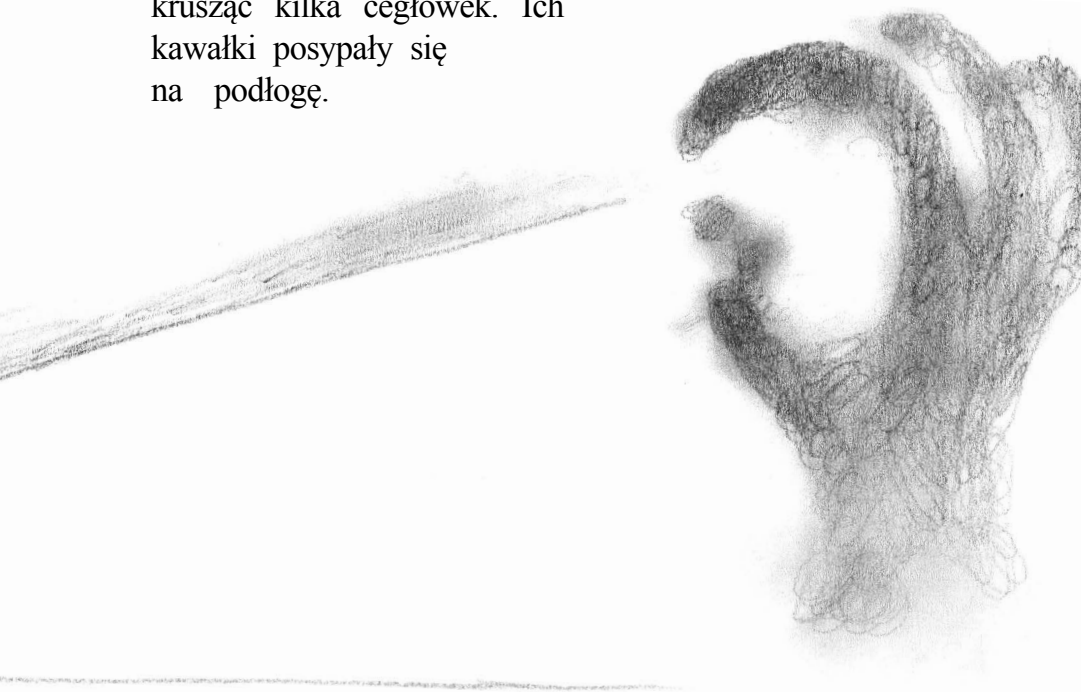
– A co ma być?

– Gospodarz skuwał stary tynk i zdawało mu się, że w tym miejscu ściana daje głuchy odgłos. Jakby była za nią jakaś pusta przestrzeń.

– Tadzio, nie żartuj! – Karol aż opuścił trzymaną w dłoni latarkę, a długie, mroczne cienie zatańczyły po podłodze i na ścianach starej piwnicy. – A jeśli ten cały krewny zostawił gdzieś tutaj drugi skarb?!

– Ty jak coś palniesz, to aż żal słuchać – odparł jego kolega z politowaniem, po czym podniósł ogromny młot i z wysiłkiem wziął zamach. – No, świeć...!

Młot z hukiem walnął w ścianę,
krusząc kilka cegłówek. Ich
kawałki posypały się
na podłogę.



Światło latarki nagle zamigotało, a z ust murarzy zaczęła wydobywać się para.

– Co za cholerstwo? – zdziwił się Karol, ze zdumieniem obserwując dziwne zjawisko. – Już wcześniej było tu jakoś chłodno, ale teraz to zrobiło się jak na biegunie północnym!

– Taaa... – Tadzio z zastanowieniem zmarszczył brwi. – Pewnie zrobiłem dziurę, a za ścianą faktycznie jest jakieś zimne pomieszczenie...

– Jaką dziurę? Ledwo naruszyłeś zewnętrzną warstwę paru cegłówek!

Latarka nagle zgasła. Teraz ciemność rozjaśniało jedynie nikłe światło żarówek świecących w części piwnicy bliższej schodów. Starszy murarz potrząsnął nieposłusznym sprzętem, kilka razy uderzył weń otwartą dłonią i wzruszył ramionami.

– Poczekaj tu, pójdę po drugą – sapnął gniewnie. – Mam w samochodzie. Zaraz wrócę...

Tadzio, pozostawiony samemu sobie, czuł się coraz bardziej nieswojo. Zdążył pomyśleć, że na nerwowe sytuacje najlepiej pomaga mu antynikotynowa guma do żucia, gdyż niedawno rzucił palenie... i wtedy usłyszał cichy szept.

– Karol? – rzucił w ciemność dość niepewnie. – To ty?

– Mur... – dobiegło z tyłu. – Oooaaal... Mur...

Mężczyźnie ciarki przeszły po plecach. Za nim znajdowała się przecież solidna, ceglana ściana, którą mieli rozwalić. I na pewno nikt za nim nie stał.

– Karol, nie wygłupiaj się – poprosił mimo to, ledwo wymawiając słowa. – Jak kolega kolegę cię proszę, daj spokój!

Czuł, że strach lodowatym uściskiem obejmuje jego serce. Nie był to zwykły strach, jaki zdarzało mu się czuć wiele razy w życiu, ale coś głębszego – jakiś przejmujący, budzący grozę, paniczny lęk. Chciał pójść w kierunku dalekiego światła, ale z przerażeniem stwierdził, że nie jest w stanie zrobić kroku. Zupełnie jakby jakieś grobowo zimne ramiona złapały go za nogi i trzymały w miejscu.

– Rooozwaaal... mur... – szepnęło mu coś tuż przy uchu. – Mur...

Głos był obrzydliwy, syczący i mlaskający, zupełnie jakby ten ktoś, kto mówił, miał usta pełne jakiejś lepkiej substancji.

Murarz zdobył się na przeogromny wysiłek i... odwrócił głowę.

Ze ściany, tuż za jego plecami, wyłaniała się blado-niebieska, upiornie świecąca w ciemności ręka, pokryta łuskami. Palce były tylko trzy i powoli zbliżały się do jego głowy. Co najgorsze, owe palce zakończone były długimi pazurami.

Na jednej ze starych cegieł ukazały się dwa czerwone punkty, patrzące na niego z mroku.

– Mur... – szepnęło znowu to coś. – Mur...!

Tadzio poczuł, że z przerażenia traci zmysły.

Zaczął krzyczeć.



Nadmorski dramat, czyli czegoś mi zabrakło

Wakacje!

To słowo już znałem i nauczyłem się je lubić. Oznacza po prostu, że Duży już nie zostawia mnie w domu z Młodym, tylko jedziemy razem w jakieś fajne miejsce! Bo Duży niestety ma tak zwaną „pracę”, przez którą często wyjeżdża. A ja jestem wiernym psem i okropnie go kocham, tego mojego Dużego. I nie lubię, gdy wyjeżdża. Przynajmniej jednak mój niezawodny psi węch mówi mi, że on też wcale nie cieszy się z tych wyjazdów. Pachnie smutkiem. Wiecie, o co chodzi...

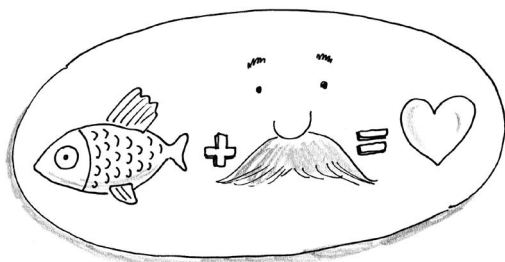
Ale ja tak gadam, a wy pewnie nie wiecie, kim on jest! To taki mój człowiek, którego wychowuję już ponad dwa lata. Kiedyś mieszkałem w schronisku – to miejsce dla psów i kotów, których nikt nie chce. I on mnie z tego schroniska zabrał, uwierzycie?! On i jego syn, Młody. No i oczywiście kocham ich nad życie, ale Dużego chyba najbardziej. Od tamtej pory mieliśmy mnóstwo różnych przygód, niekiedy całkiem niebezpiecznych. Raz nawet, zeszłego lata, strzelano do mnie z pistoletu! Ale na szczęście wszystko dobrze się skończyło. To było nad morzem,

więc trochę mi się nie spodobało, że i w tym roku tam jedziemy. Co będzie, gdy znowu trafimy na okropnie złych ludzi?! Oczywiście wszystko spadnie na moją biedną psią głowę i to znowu ja będę musiał zadbać o bezpieczeństwo stada...

No i w końcu pojechaliśmy nad to morze!

Tym razem nie zamieszkaliśmy w żadnym pensjonacie, jak w zeszłym roku, ale mieliśmy dla siebie cały dom! Duży i fajny, prawie taki, w jakim mieszka pod Wrocławiem Ewa, która przygarnęła Erkę, moją siostrę bliźniaczkę. Przywitał nas tam miły, wąsaty pan, do którego Duży mówił „panie Januszu”. Może być pan Janusz, mnie to obojętne, bo fajnie pachniał wędzoną rybą. Z początku myślałem, że będzie mieszkał z nami, bo w domu było czuć jego woń, ale okazało się, że ma swój dom kawalek dalej.

Poszliśmy na spacer – Duży i Młody, no i oczywiście ja. Słuchajcie, jak tu fajnie! Tuż obok był las, przez który idzie się i idzie, a zapachów w nim tyle, że co chwila mu-



siałem się zatrzymać, aby oznaczyć teren. Co rusz podnosiłem tylną łapę i zostawiałem swoje znaki, aż w końcu doszliśmy do morza! Prawie od razu znalazłem gruby patyk i Młody zaczął mi go rzucać. Duży zaś, pachnąc szczęściem, klapnął w tym miejscu, gdzie dochodziły fale, i moczył stopy w wodzie. I tylko ja zauważyłem, że kawałek dalej pływa w morzu ryba. Co prawda zdechła, ale i tak pływała. I ja naprawdę nie wiem, o co potem była ta cała awantura, gdy przyniosłem rybę Dużemu i położyłem na kolanach. Dowiedziałem się, że jestem zwłokofilem i trupolubem, czy jakoś tak. I zrozumiałem, że Duży raczej nie lubi zdechłych ryb. No cóż, następnym razem postaram się o mniej zdechłą.

Z plaży wracaliśmy do naszego domu inną drogą – też przez las, ale dużo węższą ścieżką. Tutaj również była cała masa nowych zapachów i trzeba było całą tę ścieżkę oznaczyć! Wtedy właśnie stało się najgorsze.

Mimo że na plaży dostałem pic z takiej specjalnej miski, to w końcu, zupełnie znienacka, poczułem, że skończyły mi się siki.

Coś potwornego.

I jak tu oznaczać nowe miejsca...?!



– Co o tym sądzisz? – spytałem z zaciekawieniem, gdy wypakowaliśmy z auta najpotrzebniejsze rzeczy, czyli klapki, kąpielówki oraz butelkę i miskę na wodę dla psa.

– Przez pół drogi jęczałeś „co to znowu za jakiś Bobolin, mogliśmy jechać jak co roku do Dziwnówka” albo...

– Dobrze, już sobie daruj – burknął niechętnie mój syn, ale widziałem, że z trudem powstrzymuje uśmiech. W końcu jednak nie wytrzymał i zachichotał, rozglądając się po tarasie z tyłu domu. – Niech ci będzie, miałeś świetny pomysł! Superchata. Ten taras, drewniane ławy, stół, bujana ławka, a w dodatku grilla mamy tylko dla siebie...

– Psu też się podoba – zauważyłem, obserwując Elfa¹, który z wyraźnym zaciekawieniem obwąchiwał właśnie duży, ceglany grill stojący pod żywopłotem oddzielającym nasze podwórko od sąsiedniej posesji. Z drugiej strony działki był drewniany płot. – Właściciel też bardzo sympatyczny. A po drodze, zdaje się, mijaliśmy sklepik ze świeżo wędzonymi rybami.

– I fermę dzikich jaj – oświadczył zniecierpliwiony mój syn.
– Przez pół drogi jęczałeś, że masz ochotę na jajecznicę. Teraz będziesz miał blisko po najdalsze jaja...

– Jakie znowu dzikie jaja?!

– Pewnie kurze, chyba że mają tu ekologiczne strusie
– odparł z humorem. – Sprawdziłem prognozę pogody, ma być pięknie przez prawie cały czas, w którym tu będziemy! Trzy tygodnie!

– Znowu się wysmażysz na skwarę...

– A ty znowu wrócisz z białym brzuchem – odgryzł się. – Czemu nie lubisz się opalać?

¹ ELF (ang. *Extraordinary Life Form*) – Bardzo niezwykła forma życia.

– Bo wolę chodzić z psem brzegiem plaży – oznajmiłem, wzdrygając się na samą myśl o beczynnym wylegiwaniu się w słońcu. – Będziemy chodzić sobie do Darłowa albo do Dąbek...

– A tę całą „Noc Łowców Duchów” to w Słupsku mamy, tak? – upewnił się, wkładając kąpielówki. – Pojutrze? Na pewno wzięłeś wszystkie przyrządy? Bo ostatnio jakby skleroza cię lekko dopada...

– Musiałeś o tym wspomnieć, oczywiście – zazgrzytałem zębami. – Raz zdarzyło mi się zapomnieć, że nie lubisz suszonych pomidorów w sałatce! Raz!

– To początki – zawyrokował beztłonie, chichocząc. – Potem zapomnisz, że sam też nie lubisz suszonych pomidorów, potem zaczniesz jeść sklepowe kurczaki, a potem...

– Oszczędź mi tego – poprosiłem. – Czekaaj, dziś jest czwartek, tak? Więc tę biblioteczną noc z duchami mamy pojutrze, w sobotę.

– O proszę! Dni tygodnia też ci umykają, skoro musisz się upewniać.

– Zaraz dostaniesz w ucho! Przyrządy mam wszystkie, są w tej aluminiowej walizeczce w bagażniku, po lewej.

Młody poprawił kąpielówki, zrobił kilka kroków i zajrzał do bagażnika. Elf, zaciekawiony, oparł się łapami o zderzak i zajrzał tam również.

– Ja tu żadnej walizeczki nie widzę – bąknął mój syn, drapiąc się z zakłopotaniem po głowie. – Znowu masz jakieś urojenia. Pewnie tylko ci się zdawało, że ją spakowałeś. Albo może pomyliło ci się z którymś z poprzednich wyjazdów?

Serce zamarło mi w piersi, gdyż nasz sprzęt do „łowienia duchów” był integralnym, niezbędnym elementem imprezy. Bez niego nie miała sensu! Jak ja się wytłumaczę bibliotekarkom?! A może zostawię ich tu i wrócę do Wrocławia po sprzęt?! W jeden dzień obrócę autem tam i z powrotem...

Te myśli przemknęły mi przez głowę w jednej sekundzie, w ciągu której znalazłem się obok Młodego. Wsadziłem głowę do bagażnika i niemal palnąłem czołem o brzeg niedużej, aluminiowej walizki, która jak byk stała po lewej stronie, błyszcząc w promieniach popołudniowego słońca.

Nie wiem, co pomyśleli sobie o nas ludzie, którzy mogli nas w tym momencie zobaczyć, ale przestałem gonić Młodego dopiero na końcu ulicy Spokojnej, przy której stał nasz domek. Mój syn uciekał nadspodziewanie chyżo, robiąc zręczne uniki, ja mamrotałem pod nosem coś o mordowaniu i patroszeniu, jednak można było przewidzieć, że najlepszą zabawę z nas wszystkich miał Elf.

– O, miałeś rację z tymi kurami! – zdumiałem się nagle, stając i patrząc na napis na dużej, drewnianej bramie. – „Sprzedaż jaj wiejskich”!

– No przecież mówiłem – wydyszał Młody, zatrzymując się kawałek dalej i przyglądając mi się podejrzliwie. – Będziesz dalej mnie gonił, czy może chwilowo zrezygnujesz z synobójstwa? Mieliśmy iść na plażę, tak tylko przypominam...

